



Pismo, poświęcone OO. Misjonarzom w Mariannhill w Południowej Afryce.
Z upoważnieniem Władzy duchownej w Wrocławiu.

„Wiadomości misyjne“ można zamawiać tylko u nas w ekspedycji i kosztują **na kwartał w Niemczech 60 fen. złotych (Goldpfennige)**
w Polsce 75 groszy.

Kto zamawia to czasopismo, ten tem samem spełnia dobry uczynek na korzyść biednych murzynów w Afryce. — Pożądani są we wszystkich miejscowościach Pomocnicy, gotowi i chętni do popierania i rozszerzania „Wiadomości misyjnych“. Czysty dochód z tego czasopisma obraca się tylko na cele misyjne.

na rozszerzanie naszej św. religji, dlatego też Ojciec św., Pius X, kilkakrotnie udzielił Apostolskiego Błogosławieństwa wszystkim Dobrodziejom naszej Misji. — Na intencje abonentów „Wiadomości misyjnych“ odprawia się w klasztorze w Mariannhill codziennie dwie Mase św.

Wszelkich objaśnień, dotyczących Misji i klasztoru OO. Misjonarzy w Mariannhill w Południowej Afryce, udziela
Zastępstwo Misji Mariannhillskiej, Wrocław IX (Breslau), Sternstraße 52.

Numer 11.

Wrocław, 15 listopada 1925.

Rocznik XXXVI.

Odwiedziny Apost. Delegata i społeczny kurs w Lourdes.

Br. Adrian.

Z początkiem tego roku, od 6—12-go stycznia odbywał się we wielkiej stacji misyjnej Lourdes trzeci doroczny kurs społeczny. Ponadto miała stacja równocześnie osobliwszego gościa. Wysłannik samego Ojca św. zaszczylił swą obecnością zebranie, mianowicie mianowany przez Ojca św., Piusa XI, pierwszy Apost. Delegat, Arcybiskup Gylswyk. Przybył w towarzystwie mariannhillskiego Biskupa, Adalbera Fleischera.

Pierwotnie należał do zakonu św. Dominika, i podobnie jak Kardynał Rossum pochodzi z katolickiej Holandji. Miłego doznawał wrażenia, kto widział, jak uprzejmie, serdecznie przemawiał i zwracał się do krajowców. Słynie bowiem, jako przyjaciel ludu, i wszelkimi sposobami radby podnieść Misję.

On sam był misjonarzem w Indjach. Ponieważ w połud. Afryce protestanci 80 lat wcześniej niż katolicy zaczęli dzieło nawracania, nie dziw, że katolicy z trudem mogą ich doganiać, by im sprostać. Po prze-

wrotach wojennych liczne zgromadzenia misyjne otrzymały od Stolicy Apost. nowe zakresy działania, jak np. Benedyktyni ze St. Ottilien w Zuluji, Synowie Najświętszego Serca w Transwalu, OO. św. Ducha, — Pallotyni i inni.

Cel dorocznego kat. kursu można poznać z programu, który w skróceniu opiewa:

Zaproszeni są rodowici krajowcy wykształceni, osobliwie nauczyciele obojey płci. Chętnie są widziani i niekatolicy, o ile znajdzie się dla nich umieszczenie.

Cel zjazdu określony jest w ten sposób: Zamierzamy uczynić obmyślaną próbę, by afrykańskim naszym przyjaciołom przyjść w pomoc i rozważyć, w jaki sposób, środkami dostępnymi, możnaby poprawić dolę krajowców; — temat, już tamtego roku omawiany.

Pragniemy Afrykę podnieść:

1. Praktycznem wykonywaniem religji, modlitwą, słuchaniem słowa Bożego, które jest źródłem pociechy w trudach życia i światłem w zapasach życiowych.

2. Przyswajaniem sobie pożytecznych wiadomości, przez nauki, wykłady itp.

3. Przez prace ręczne, rzemiosła, domowe ulepszone urządzenia.

Nagrobek Misjonarza.

Przybył tu w zdrowiu i w sile
Nieść służby Panu nad pany,
I legł przedwcześnie w mogile,
Pracą i walką sterany.

Padł jak królewski posłaniec,
Co drogę ściele królowi,
Jak głaz, rzucony na szaniec,
Niosąc ratunek ludowi.

W duszach, które pracą zbawił,
Którym wieść przyniósł o krzyżu,
Wieczną pamiątkę zostawił
I pomnik trwalszy od spiżu.

Przechodniu! powiedz ojczyźnie,
Która go niebu wydała,

Że choć spoczął na obczyźnie,
On jej chluba, radość, chwała!!

Ks. Mateusz Jeż.

4. Przez wzorowe, moralne sztuki, osobiście sceniczne i przez muzykę.

5. Przez towarzyską wymianę myśli z dawnymi i nowymi znajomymi.

6. Przez szczere porozumienie z europejskimi przyjaciółmi.

Porządek zajęć w ciągu kursu był następujący:

1. Modlitwa: Codziennie Msza, egzorta, i wspólna modlitwa wieczorna.

2. Nauka: Wykłady katechetyczne, socjologia, organizacje społeczne i ekonomiczne. Gospodarstwo domowe.

3. Praca: Wyroby koszykarskie, wyroby z drzewa, żelaza, skóry, wyroby sprzętów domowych, odzieży.

4. Rozrywki: Dramatyka, muzyka, dyskusje, koncert pożegnalny.

5. Wystawa: Przedmioty, przed kursem i w ciągu kursa zrobione.

Z rana były wykłady, czyli część teoretyczna; po południu — roboty, czyli praktyka.

Jak z powyższego widać, głównym celem kursu jest podniesienie materialne, społeczne i umysłowe krajowców, czyli dźwignienie ich ze stanu pierwotnej ciemnoty.

Jużci misjonarze na bliższą i dalszą przyszłość będą najlepszymi doradcami ludu w jego potrzebach. Krajowcy Afryki już są właściwie wciągnięci w europejską kulturę; — teraz trzeba dotrzymać kroku lub — zmarnieć. „Kto dziś chce żyć po ludzku, musi równo biedzić z innymi!“ Duch czasu wnika i do czarnych. Staro-dawne, zbutwiałe stosunki znikają, nowe gwałtem się wciskają. Czarne rasy są w punkcie zwrotnym, na rozdrożu, — trzeba im wskazywać poprawne prawidła i wytyczne, których bezpiecznie mają się trzymać, by trudnym zawodom zwycięzko podołać. A odbywać to się ma — zgodnie z naturą — powoli, konsekwentnie.

W przeddzień kursu 6 lekkich pojazdów, i 6 zaprzęgów wołami podążyło do najbliższej stacji Mealenge, zabrać gości. W drodze zaskoczyła ich burza, deszcz, nie tracili humoru. Pociąg się spóźnił, wielu przybyło o dzień później. Mimo to wszystko, zebrało się na kurs okragło 250 osób.

Obszerna hala na wykłady była godowo przybrana. Br. Fabian, zawodowy ogrodnik, poumieszczał tam różne okazy plonów ogrodowych, polnych, warzyw, owoców, tak, że prelegent, mówiący o uprawie roli, naocznie mógł słuchaczom wzory demonstrować.

O. Rektor z Lourdes, Emanuel, zagał kurs słowy:

„Przypadł mi zaszczyt, witać w Lourdes uczestników trzeciego kursu społecznego. Jest z górą trzy lata, jak uczyniliśmy pierwszą skromną próbę socjalnego kursu. Wiele także innych, pewniejszych, w ciągu wakacji, odbywało się i odbywa kursów w różnych miejscowościach. Kursy te mają na oku przeważnie fachowe, zawodowe wykształcenie nauczycieli. Naszem zdaniem, przyjaciele nasi, nauczyciele i inni, prócz wykształ-

cenia zawodowego, potrzebują jeszcze zaznajomienia się ze środkami i sposobami walki o ludzkie bytowanie. To ułatwi im uniknienie wielu błędów, a nauczy lepszego używania tych rzeczy, któremi rozporządzają. Uczestnik kursu, który z uwagą wysłucha wykładów niniejszego kursu, nie da posłuchu samowolczemu apostołowi, który obiecuje złote góry i raj na ziemi, a którego zasady wtrącają w nędzę jeszcze większą, nie powiększy liczby ofiar nieszczęśliwych, w które dzieje naszego kraju aż nadto obfitują.

Przeciwnie coraz więcej jasnem mu będzie, że ciągły rzetelny postęp ras afrykańskich tylko wtedy będzie zapewniony, jeżeli opierać się będzie na zdrowych zasadach, jakie na socjalnym kursie usłyszy. Nie małą radość sprawia inicjatorom kursu to, że wielu z was korzystało z poprzednich kursów. Mamy na to dowody i nie może być inaczej; zgromadzenie samo przez się, wzajemne spotykanie się inteligentnych, otoczenie, kościół, szkoły, warsztaty, rozrywki, szczerą wymianą myśli między czarnymi a białymi bez różnicy barwy skóry — to wszystko podnosi i uszlachetnia.

Odnosnie do niniejszego kursu śmielać się wyrazić przekonanie, że nie będzie on w tyle poza dwoma swymi poprzednikami. Naszą myślą przewodnią ma być, jak mówi prospekt: „Afryka pod znakiem tego, co najlepsze“. Naprzód praktyczne wykonywanie religii, która jedna jest w możności dać w tym świecie pokój prawdziwy. Do tego przyczynić się ma nabycie pożytecznych wiadomości, robot ręcznych i wesołe, zdrowe wytchnienie i zabawa.

Moim panowie, korzystny wynik tego kursu w głównej części zależy od was. My otwieramy wam bramy i serce, spodziewając się, że w dobrym duchu tu wstępujecie; waszą jest rzeczą, jak największy stąd wynieść pożytek. Przed dwoma miesiącami odwiedził O. Bernard i ja konferencję w Johannesburgu. Z całej połudn. Afryki napłynęło mnóstwo Europejczyków i krajowców. Na zakończenie zebrania rzekł major Cooke: „Jeszcze przed kilku laty nie byłby nikt wpadł na pomysł urządzić zebranie krajowców, lub przyjechać na nie, wiedział bowiem, że spotka się z nieufnością i narazi na nieprzyjemności. Dzisiaj wszyscy uczestnicy swobodnie i życzliwie przemawiają i słuchają, przedkładają swoje życzenia i przyjmują wskazówki i rady. Świadczy to o rozwoju i postępie ludu afrykańskiego.“

Daję wyraz przekonaniu, że przyszliscie tu ożywieni i owiani tym duchem, o jakim mówił major Cooke. Wiecie o tem, że musicie zdobyć należne wam pod słońcem miejsce, musicie tedy okazać wobec całego świata, że poprawne wychowanie i wykształcenie nie psuje was, nie wychodzi wam na zgubę, lecz was dźwiga, podnosi i czyni ostoją i podporą kraju.

Tutaj, moi panowie, znajdziecie sposobność, rozszerzyć i pogłębić niektóre wiadomości, waszej rasie potrzebne, z uwzględnieniem odrębnego położenia i okoliczności. Ufam, że wielką odniesiecie korzyść. Z pokorą przy-

znajmy, że wszyscy jak tu jesteśmy, wiele jeszcze mamy i potrzebujemy się uczyć. Na wspomnianej konferencji w Johannesburgu zauważył jeden mówca, ile nieszczęścia sprowadza w tym kraju religijna niejedność i rozterka, która przez wzajemne tarcie mnóstwo energii marnuje. Moi panowie, temu opłakanemu stanowi ani wy nie jesteście winni, ani ja nie jestem winien. Ale jeżeli przeszłość tak była rozstrzelona, dlaczego my nie mamy zgodniej skupiać się i zestrzelać w jedno ognisko? Zjednoczonymi siłami możemy rozwiązać niejedno zagadnienie, które zdaje się nam grozić. Czyż Zbawiciel nasz nie przyniósł na świat prawa miłości? Nienawiść tedy, rozterki nie mogą od niego pochodzić. Twórzmy tedy przynamniej tutaj na tym miejscu na kilka dni jedną wielką rodzinę, wszyscy wzajemnie dając się czcią i rodziną chrześcijańską miłością.

Na zakończenie proszę Boga, aby te nasze skromne usiłowania raczył błogosławić, by nas coraz więcej oświecał, coraz lepszymi nas czynił, byśmy wszyscy byli jednym sercem i jedną duszą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Sursum corda!“

S. Engelberta.

Tysiące razy na dzień śpiewa Kościół u ołtarzy: „Sursum corda!“ Radabym, abyśmy wezwaniu temu uczynili zadość. Chrystus i Apostołowie często przywołują nam w pamięć niebo, wszak cała ewangelja jest orędziem nieba dla zdobycia nieba.

Wiele ciężkich prób jest tu na ziemi, a jedno spojrzenie w niebo pomaga nam, cierpliwie i mężnie je znosić. Tam, w górze niema łez ani boleści; tam napawać się będziemy strumieniem radości, widok Boga będzie naszym nasyceniem. A jak długo trwają te boleści i cierpienia? „Maluczko,“ tak mówił Chrystus sam, rozstając się z uczniami, „Maluczko, a nie ujrzyście mię, idę zgotować wam mieszkanie, — i znów maluczko, a ujrzyście mię.“ Cierpienie krótkie, nagroda — bez końca.

Sursum corda! Mimowoli przyszyły mi te słowa na pamięć, gdyśmy wczoraj, w nędznej, wałacej się chałupinie, widziały na ziemi nędzną, trędowatą, ranami okrytą kobietę w brudnej derze.

Przyszyłyśmy pocieszyć biedną naszym przybytem; pomóc nie możemy, na trąd niema rady. — Idąc do niej, w drodze obmyślałam słowa, jakimi ją najlepiej będę mogła pocieszyć, — wszak zastanę ją — myślałam — smutną, przygnębiającą. Zawiodłam się. Magdalena z radością nas witała, wyciągnęła obie ręce

na powitanie — nie bez lęku podałyśmy jej nasze ręce; potem sama zaczęła opowiadać, jak to ona, mimo choroby, ran, bezsennych nocy itd., od czasu jak została ochrzczona, czuje się szczęśliwą, że wnet dostanie się do nieba, i oglądać będzie Jezusa, który nieporównanie więcej cierpiął.

Krótko mówiąc, pocieszała raczej mnie, ale i siebie, żadnej nie podniosła skargi, o nic nie prosiła, tylko dziękowała nam za dar wiary.

Zbyteczne były dla niej słowa pociechy. Wiara jej, miłość ku Bogu była tak wielka, że jakby nieświadoma była swego stanu zdrowia, swej choroby. Chwaliła męża, że troskliwie dba o nią, że jest cierpliwy, wyrozumiały, że dzieciom nie tylko jest ojcem, ale i matką; sam przynosi i rąbie drzewo, sam gotuje, uprawia pole, które w tym roku wskutek gradu prawie nic nie przyniosło.

Z zadowoleniem patrzyła na dzieci, osobiście na najstarszego chłopca, piętnastoletniego Emanuela; wszystkie chodzą do Loreto do szkoły, są pocziwe, — lubo, wzrosłe w szkole niedostatku i cierpienia, nieco przygnębione wyglądały.

Gdym w r. 1916 przybyła do Loreta, była Magdalena młodą, żwąwą poganą. Dziś ma może 37 lat, a mąż jej około 40—42. Pierwszy raz widziałam ją, jak prosiła mię, żeby przyjść i ochrzcić chore jej najmłodsze dziecko. Przyszedłam oczywiście i ochrzciłam dziewczynkę, imieniem Antonina; dziecko ozdrowiało i wyrosło. Teraz spadało jedno po drugim nieszczęście na tę, dotąd tak szczęśliwą rodzinę. — —

I tak naprzód zachorował najstarszy chłopiec, podówczas jeszcze poganin; do-

stał ciężkiej gorączki, która trwała kilka miesięcy. W końcu zdawało się, że chłopiec umrze; matka wtedy, już chrześcijanka, wezwała kapłana. Pospieszył O. Eligjusz i ochrzcił blisko 12-letniego chłopca imieniem Emanuel. Zwolna przychodził chłopak do zdrowia i rodzice posyłali go do szkoły do Loreta; tymczasem zaczął chodzić do szkoły i młodszy o dwa lata.

Ledwie Emanuel przebył długą i ciężką chorobę, to znów zdrowie ojca samego kilka miesięcy ważyło się między życiem a śmiercią. Wtedy to ciężko nawiedzona gazdyni rzekła do mnie: „Zdaje mi się, że Pan Bóg żąda czegoś odemnie“. Dzieci moje jużem mu darowała, muszę i mojego męża nawrócić i dać ochrzcić. Proszę przyjść i ochrzcić go; ja także od teraz wdzieję suknie i wstąpię do katechumenatu. Pan chce mię przybić do krzyża, by z nim cierpieć, zgadzam się



Grzeczne dzieci.

z jego wola, bo amadhlozi (duchy) żadnej nie mają mocy."

Tak mówiła niewiasta i prosiła mnie, uszyć jej suknię; przyniosła nawet i materiał. Wykonałam jej prośbę. Męża jej jednak nie ochrzciłam, tylko wysłaliśmy go na stację Częstochowę do misjonarzy.

Tymczasem tak się jej mężowi pogorszyło, że już późnym wieczorem wysłałam do króla naszą Kamilę, by w nagłym wypadku szybko chorego ochrzciła. Kamila zastała go tak słabym, a do tego cała rodzina okazywała tak dobrą wolę, że bez ociągania się ochrzciła chorego imieniem Antoni. Tymczasem chory uzdrowiał, a biedna żona pracowała jak mężczyzna na taksy, dodatki i t. p. wyderkały, uprawiała pole, słowem tyrała siły. Do tego szedł wół jeden po drugim na do-

pojętny Emanuel uczył ojca i matkę, głośno odmawiał w królu modlitwy z rana i wieczór, niekiedy czytał z biblij mękę Pańską, albo o Łazarzu, albo Jobie, a tego najwięcej lubiała chora matka słuchać.

Wreszcie po niedzieli Przewodniej miała przyjąć chrzest. Dzień przedtem posłałam do niej Kamilę, by jej pomogła uporządkować chatę, dałam dla niej czystą bieliznę, odzienie, by okryć rany. Trudno wyobrazić sobie, jak mimo nieszczęsnej choroby czuła się szczęśliwą. Kamila mówiła mi, że całą noc się modliła i tak sposobila się na chrzest.

O. Eligjusz udzielił jej chrztu. Cierpliwie, z miłością, mimo odrażającego widoku i wstrętnej woni, zatrzymał się jak długo mógł. Kamila była świadkiem chrztu, a po odejściu O. misjonarza, zakrzętała się około posiłku.

Przez jej chłopca, Emanuela, posłałam jej mięsa, chleba i cukru, żeby jej Kamila coś lekkiego, strawnego podała. Magdalena chwaliła sobie, że nigdy jeszcze tak smacznych rzeczy nie jadła. A o chorobie mówiła: „Bogu dziękuję za wszystko; gdyby nie choroba, nie byłabym poznała prawdziwej wiary; czuję się szczęśliwą, tak że nie myślałam, aby na ziemi takie szczęście było możliwe.“

Od chrztu jest jeszcze więcej cierpliwa, a dzieci jej opowiadały mi w szkole, że matka, gdy całą noc spać nie może, klęka przed obrazem, który Emanuel przybił szpilkami do ściany, i półgłosem modli się i całuje krzyżyk i medalik, dałam jej to zaraz z początkiem jej choroby.

Magdalena wznosi oczy ku niebu, tam znajduje pociechę i pocieszenie w nieuleczalnej chorobie.

W sąsiednim królu jest radość i szczęście. Rodzina liczna, wszyscy zdrowi, we-

seli, młode jeszcze małżeństwo, troje dzieci, dwie babki, prawnuk; jedna babka jest wprawdzie ślepa, ale zresztą krzepka. Magdalena nie zazdrości im, ale oczy i serce zwraca ku niebu.

Już był wieczór, kiedyśmy wróciły z odwiedzin. Słońce już zaszło, gdyśmy stanęły na naszej górze Loreto Marji, w naszej samotni. Ja i S. Ubalda byłśmy podniesione na duchu. Każdy uczynek miłosierny, odwiedzanie chorych, pocieszanie strapiionych już tu na ziemi wynagradza wewnętrznym zadowoleniem. Ale prócz tego byliśmy zbudowane cierpliwością chorej i zdaniem się na wolę Bożą. Sursum corda!

Ostatnia podróż.

(Z czasów założenia Mariannhillu.)

Razu pewnego — tak opowiadał jeden z Braci — spotkałem na tutejszej stacji 6 Zulów z dwoma końmi, którzy urządzili sobie postój przy drodze pocztowej, tedy prowadzącej. O. Franciszka, założyciela Misji



Apost. Delegat Gylswyk z biskupem ks. Fleischerem i opat Gerardy Wolpert
z misjonarzami mariannhillskimi na konferencji w Lourdes, Połudn. Afryka.

która, ze stada kóz zostało zaledwie kilka, tak, że obaj chłopcy jednego dnia w szkole płakali. Wreszcie gazda o tyle się wzmocnił, że mógł chodzić, ale o tem żeby mógł pracować, nie było mowy.

Z kolei teraz zachorowała kobieta, coraz bardziej marniała; z początku nie wiedziała co jej jest, niebawem dostała ran po całym ciele, osobliwie na głowie, rany te szerzyły się coraz bardziej, i wszystkie umuły, smarowania itp. nic nie pomagały. Ostatki bydła poszły na sprzedaż i zaniesiono ją do białego doktora, ale i to było daremne. Siostry próbowały swoich leków, jednak rany wżerały się coraz dalej i dalej.

Nieszczęśliwa kobieta, która tyle poniosła ofiar dla syna i męża, sama teraz była chorą nieuleczalną, a białe doktor powiedział, żeby się nie wiele ludziom udzielała i była w ukryciu, bo inaczej wyśle się ją na wyspę, gdzie inni tacy chorzy są odosobnieni.

Na te słowa zamilkła, zachowała spokój, uczyła się pacierza, katechizmu i pragnęła możliwie rychło być ochrzczoneą. Dzieci jej uczyły ją katechizmu, osobliwie

mariannhillskiej nie było w domu, przeto sam wszedłem z nimi w rozmowę, by się dowiedzieć, czego sobie życzą.

Najstarszy z nich mówi, że mają kilku chorych, a jeden nawet właśnie dopiero co umarł. Wziął mnie na drugą stronę drogi, i rzeczywiście, pod drzewem leżał mężczyzna, jakoby około 20 lat liczący, nieżywy. Pytam, co się stało, a starszy gazda zaczyna opowiadać:

„Jesteśmy z Pondji; ci dwaj moi wnukowie byli w Johannesburgu na złotych polach, ale zmuszeni byli chorobą stamtąd wrócić. Z tym tu moim synem wyjechałem naprzeciw niech do Richmondu, tj. do najbliższej stacji kolejowej. W powrocie, nad rzeką Umzimkulu, stąd 8 godziny drogi, zobaczyliśmy tego nieboszczyka, — leżał chory na drodze. Był nam obcy, ale że to nasz krajan i bardzo prosił, żeby go zabrać do swoich, odstąpiliśmy mu jednego konia i zabrali go ze sobą. Gdyśmy tu przybyli, patrzymy, a on się chwieje na koniu. Pomogliśmy mu zsiąść z konia, zaprowadzili go pod to drzewo, za kilka chwil umarł. Pozwólcie nam go tu pochować i dajcie nam po temu narzędzi.“

Kazałem im zaczekać, aż wróci przełożony. Około południa wrócił O. Franciszek, i oczywiście dał zaraz pozwolenie, jak proszono. Około 4 popołudniu wszystko było załatwione i — jak się zdawało — w porządku i w spokoju. Aliści niebawem pogorszył się stan zdrowia — i to poważnie — innego chorego.

Znieśliśmy go do pobliskiej, pustej chałupy i położyli na łóżku. Ponieważ okazał się u niego ogromny upadek sił, zapytałem, czy nie chciałby przyjąć chrzest. Wiadomo uradowany rzekł:

„Bardzo chętnie. Nie radbym tak skończyć, jak tamten przy drodze, ale wprawdzie zapytam się mojego dziadka.“

Przywołałem więc starca, który — jak się dowiedziałem — był protestantem (wesłaninem). Chory pyta go, czy się zgadza, by się mógł ochrzcić. Byłem w strachu, co powie. Podumał chwilę i rzekł:

„To twoja rzecz, czy chcesz duszę wyprawić do nieba, czy też nie.“

Rzekłszy to, wyszedł. Ja byłem uradowany. Na prędce pouczyłem go o najważniejszych prawdach wiary.

Chwilami przystawałem, jużto, aby nie znużyć chorego, jużto, by się przekonać, czy mię rozumie. Naiwne pytania, jakie mi w takich pauzach dawał, wskazywały, że dobrze uważał na moje słowa. Tak np. raz pyta się: „Ojcze, mówisz, żeby prosić Boga o miłosierdzie i przebaczenie za grzechy, — jakże to się mówi? Jużem się nieraz chciał modlić, a nie wiedziałem, jak tu do tak wielkiego Pana mówić, bo jak żyję, nigdy jeszcze z wielkimi panami nie gadał...“

Mówiłem więc o dobroci Boga, żeśmy wszyscy jego dziećmi, a więc jak dzieci z ojcem, swobodnie, jak umiemy, z nim możemy rozmawiać. Sam widzi miłosierdzie Boże, — wszak przed śmiercią może przyjąć

chrzest św., a tamten umarł jako poganin i tak został pogrzebany.

Widać było, że to zrobiło na nim wrażenie, ale znów zapytał: „Ojcze, naucz mnie modlić się; doprawdy nie wiem, jak to zrobić!“

Mówiłem więc z nim krótkie akty strzeliste, wiary, nadziei, miłości, żalu na grzechy, oddania się Bogu. Szczerze, z przejęciem wszystko powtarzał, widocznie działała w nim łaska, lecz głos był coraz słabszy.

Zapytałem wreszcie, czy jest gotów, wyznać grzechy przed spowiednikiem. Zgodził się bez oporu.

Tymczasem zaczęło się zmierzchać, poprosiłem tedy O. Przełożonego, niezbyt biegłego w języku zulskim, i przyprowadziłem go do chorego.

Jeszcze raz zapytałem, czy chce być ochrzczonym. „Tak — mówi — alem już wiele z tego, com słyszał,



Spółeczny kurs w Lourdes (Połudn. Afryka).

zapomniał.“ Uspokoilem go, a widząc, że śmierć nie zwleka, podniosłem go, oparłem jego głowę, a O. Przełożony polewając głowę, udzielił mu chrztu, dając imię Anzelm, poczem opuściłem nadół jego głowę. Zamknął oczy jakoby senne. Zanim się z nim rozstałem, zapytałem go jeszcze, czy gotów jest, czy pragnie umierać. Łagodnie się tylko uśmiechnął, — tak — była odpowiedź.

W nocy zasnął w Panu, — w szacie niewinności zjawił się przed Bogiem, Panem i Sędzią. Miał około 22 lat. Wnet sporządzono trumnę, na zwłoki dano kwiatów, poczem uroczystie jako chrześcijanina pochowano go na naszym cmentarzu, i zatknęto krzyż na grobie, do którego tak wcześniej wstąpił.

Rozmaitości z Rodezji.

O. Ignacy.

Niedawno temu podałem z tutejszego życia ludowego i szkolnego niektóre szczegóły, pytania i odpowiedzi. Niniejszem nie tyle dalej chcę prowadzić ten temat, ile raczej z innej strony, z innego punktu widzenia go

przedstawiać, — w szczególności, na jakie pomysły wpada nieraz krajowiec. A potem opowiem, czegom to „ja“ dokazał, lub raczej czegom doznał.

Kiedy w czasie wojny kapłani nasi musieli opuścić Rodezję, dziewczyna jedna ubolewała, że niema O. Ignacego. „Cóż to będzie, mówiła, jak przyjdzie umierać, skoro niema kapłanów?“

Siostra pocieszała ją: „Przecież O. Ignacy uczył was, co macie czynić na wypadek, gdyby wam bez pomocy kapłana umierać wypadło. Zapomniałaś, co mówił o skrusze doskonałej?“

Jeszcze bardziej zasmucona, rzekła: „Prawda, ale, gdy to sami czynimy, to nie jest tak samo, jak gdy kapłan dopomaga. Co pomogą słowa czeze, gdy nie pochodzą z serca. Nie wiem, co to będzie?“ Słowa te, trafne, zawierają nauki dla każdego wiernego, a tkżea i dla misjonarza.

Kiedy nareszcie do Triashillu przybyła Siostra infirmerka, odwiedziła raz między innymi jednego, ślepego, chorującego na nogę. Radziła mu, żeby się udał na stację; tam mu łatwiej dopomogą, tam mu będzie bliżej do Boga itd.

Na to mówi zagadnięty: „Przecież Bóg i tu wie o mnie, i tu może mi pomóc, jeżeli zechce...“ Odpowiedź poprawna, ale czy całkiem? Niestety nie wiem, co się dalej stało, czy poszedł na stację, czy nie poszedł.

Skoro mowa o chorych, przychodzi mi na pamięć jeden, którego także zgłoszono jako „śmiertelnie“ chorego. Kiedy Brat przyszedł do niego i po dłuższej rozmowie — unikając ogólnie wzmianki o chrzcie — tyle dokazał, że był skruszony i skłonny do nawrócenia, wyrwał się, jak Filip z Konopi, rodny brat chorego z zapytaniem: czy chce być ochrzczony.

Chory zerwał się jak oparzony, wypadł z krzaka i jak bez zmysłów tam i sam się rzucał. Brat, widząc, że o chrzcie już niema mowy, z niczem wrócił do domu.

Teraz inny przykład. Raz miałem w Triashill chrzest. Przy zapisie daje się pytanie, kiedy był ślub rodziców. Nie byłem jeszcze biegły w języku i zamiast „mwakaro orwa rini“, „kiedyście się pobrali?“ zapytałem „mwakaro erwa rini“, „kiedy zostaliście ukrzyżowani?“ — Z tego, że oboje się uśmiechnęli, poznałem, że zrobili błąd, i zaraz się poprawiłem.

Jeszcze gorzej przemówiłem się przy udzielaniu nauki o pierwszej Komunii św. u Św. Barbary. Ile razy zdarzy mi się mówić owe słowa, widzę, że dzieci panują nad sobą z całej siły, żeby nie wybuchnąć śmiechem, jak za pierwszym razem. O, tu trzeba dobrze uważać, żeby z nieba nie zrobić stajni, jak mi się rzeczywiście zdarzyło przy modlitwie kwartalnej o kapłanów, dałem

bowiem wydrukować „dange“ (stajnia), zamiast „denga“ (niebo).

A teraz na zakończenie: Niedawno temu, byłem w jednej sprawie małżeńskiej w roli przygodnego dziesiętnego i poszedłem z młodzianem do „tecara“ (teścia). Był właśnie wtedy daleko na swych polach. Musiałem czekać jakie 3 godziny. Poprosiłem go, żeby „wziął za pióro“. Zwrot, używany zamiast podpisu, kiedy załatwi się ugodę, czyli intercyzę co do wołów i pieniędzy za narzeczoną. Wtedy nieumiejący pisać trzyma pióro, a umiejący pisać znaczą razem z nim trzy krzyżyki. A on mi na to mówi, że nie jest właściwym tecom, tylko jego bratem, bo ojciec dziewczyny nie żyje. Uważałem to za pogańskie przekomarzanie się, i radziłem głośno kawalerowi, by wniósł skargę do władzy politycznej — a poganie strasznie tego nie lubią.

Wreszcie mówię do mołojca: „Uya, tiende,“ chodźmy stąd. Usłysawszy to, rzekł gniewnie: „Ja, endai satana!“ idź, szatanie! Na to ja nie pozostałem dłużen odpowiedzi. Po kilku dniach zapowiedzie były już głoszone. — Jeżeli przy mnie tak mówił, łatwo do śpiewać sobie, co mówił, gdy mnie już nie widział. Miałem wskazówkę dosadną, że kapłan w interesy małżeńskie mieszać się nie powinien. A tu jeszcze była przedemną daleka droga w upał.



Dzieci szkolne przy kościele w Częstochowie (Połudn. Afryka.)

Ucieczka Fynna.

Przypadki Kehli Izytwy w latach miłosierdnych 1828 do 1831.

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze do dziś pamiętam owe smutne, stroskane twarze. Na każdej wyciśnięty był wyraz niemej boleści. Ze wszystkich osób, zebranych około ognia, nie było ani jednej, któraby nie opłakiwała jakiejś straty, jakiej drogiej osoby, tam na polu bitwy, przez dzikie rozszarpywanej bestje, których mruk i ryk aż tu załatywał. W ponurej zadumie przychodziła mi na pamięć moja biedna Mehla, która tam w niskim grobie spoczywała obok dzieci, i żłorczyłem dnlowi, w którym opuściłem wcale bezpieczną jaskinię w górach. Prawda, było tam zimno i głód dokuczał, aleśmy byli razem. Potem wspominałem sobie Nundiego. I jego życie minęło. Dalej przypomniła mi się Unyeza. Na lepszy zasłużyła los, a nie, żeby ginąć od assagaja czelkoczwerza. Ciężko mi było na sercu i zdawało mi się, że chyba nikt już Zulom się nie oprze. Zapewne już ciągle tak będzie, jak się zaczęło od owego dnia, kiedy zaraz od pierwszego razu zaczęli swymi zastępami zalewać kraj, zabijając i paląc. Jak długo żyje jeszcze choćby jedna dusza abantów, wojna i rzeź nie ustanie.

Ani przez głowę mi nie przeszło, że właśnie owej godziny, kiedym tak siedział i dumał nad nieokonalną siłą Zulów, zbliżała się pomsa. W owej właśnie chwili ładowali Burzy wozy do wielkiej wędrowki, i już amabuny (Burzy) ruszyli ku Natalowi. Dotąd nie było o nich ni widu, ni slychu. Ale już prawie słychać było ich wozy, jak to zapowiedział Czaka, kiedy wyl się z bolu, ugodzony dzidą Dingana. „Jakto, więc wy, moi bracia, wy mnie zabijacie, wy, psy mojego własnego domu, którem moim obrokiem karmił

Myślicie, że zamiast mnie będziecie panowali; choć mnie zabijecie, nie myślcie, że dom wasz długo będzie panował, — niedoczekanie wasze! Już słyszę kroki wielkiego, białego ludu, kraj ten legnie u stóp jego.“ To były słowa Czaki, najęźszego Zula — i spełniły się. Ale myśmy wtedy nie wiedzieli, że już tuż są zajądnie zabijaki, by moc Dingaana jak trzcinę złamać.

Ani we śnie się nam nie marzyło, że zwaliste chłopcy Dingaana zaraz przy pierwszym naporze na tabor amabunów w puch się rozsypią, a Dingaan z rąk wrogów swoich, Amaswazów, jako zbieg skończy.

Rozdział szesnasty.

Następny miesiąc był bez rozstrzygających wypadków. Musieliśmy tylko ciągle mozolnie naprzód zwolna się posuwać. Jeden wóz za drugim trzeba było wlec końmi. Posłaniec, wyprawiony do Faka, wrócił z wiadomością że on chętnie dałby pomoc, ale mało ma bydła, a lęka się, żeby i tego Zule mu nie zabrali, jeżeli Pondowie jeszcze raz zerwą się na Dingaana. O zachowaniu się jego ludzi względem Mbulazego nie dał naczelnik (Faku) żadnego wyjaśnienia. Natomiast oświadczył, że przyjmuje dar Mbulazego, na okazanie, że nie jest dlań źle usposobiony.

Nasz inkos przypuszczał, że taką będzie odpowiedź. Z wielkim trudem dotarliśmy nad Umtamunę, gdy przybył goniec od Faka. Ledwie udało się nam przeprawić wozy przez rzekę. Potem masyzerowaliśmy dalej ku morzu, i dostali się na skalistą płaszczynę, rodzaj półwyspu, dostępnego jedyną wąską ścieżyną. Ścieżka ta była głazami i rumowiskiem ściśnioną, że łatwo można jej było bronić. Plac tedy był nie do zdobycia. Wozy rozebrano, a pojedyncze ich części poprzynoszono na plecach. Oj, była to nielada robota!

Poczeliliśmy stawiać chaty i osiedlać się jako osiedleńcy. Mbulazy i inkos Frank chodzili często na łowy. Roilo się tam od dziczyzny, prawie zawsze mieliśmy mięsa dostatek. W środku równiny był pagórek z obfitem źródłem.

Ja byłem znękany, miesiącami nie byłem zdolny do polowania. Nie mogłem sobie nawet chaty postawić. Poczelwiy Mbulazy polecił tedy kilku młodszym, żeby mi jakiś przytułek zbudowali. Także niektóre kobiety dopomagały, gawędząc po swojemu, bo, jak wiadomo, mimo przygód i niewygód, urosłem w znaczenie, a jak zdrowie służyło, byłem mocny jak dąb.

Wśród kobiet były dwie, które szczególniej moją uwagę zdobyły, jedna, zaledwie dojrzała, imieniem Ibiza, i córka naczelnika Najego, imieniem Manyema.

Ibiza była zawsze wesoła; tylko gdy wspomniała sobie o ojcu i matce, którzy zginęli w rzezi pod Belanhlolą, stawała się posępna i łzy jak groch spadały się jej po twarzy.

Manyema była już dorosła, okazała. W całym obejściu miała coś łagodnego, pocziwego. Ona to starała się, by nie brakło pożywienia wtedy, kiedy mi się z łóża ledwie mógł dźwignąć. Ciekawe, że w miarę, jakem wracał do sił, odwieczyły jej stawały się rzadsze, a kiedy już całkiem był ozdrowiały, zupełnie się odstrychnęła.

Dziwiło mię to, i, prawdę mówiąc, martwiło. Nawykłem bowiem do niej a nawet roilem sobie, wziąć ją na miejsce Mehli, którą mi śmierć zabrała. Ale gniewało mię, że zawsze z jakimś młokosem, imieniem Nwabe, śmiała się i żartowała. Głupia młoda tego młokosa była mi wstrętna. Mój wygląd także nie był czarujący, bo dzida zulska przecięła mi twarz aż do kości, a blizna była wtedy jeszcze czerwona i niezgojona. Nwabe wyglądał — jakżeby to powiedzieć — ot, jak tyka; ja także byłem chudy jak szczypta i byłem pełen blizn. Uważałem te figle Manyemy z insyżwą za dzieciństwo, i mówiłem jej to, ale ona mię wyśmiała i poszła do chaty kobiet.

Pierzeja kobiet była obszerniejsza niż obozowisko mężczyzn. Mbulazy kazał dla licznych kobiet osobne pobudować chaty, i to

dla niezamężnych i dla wdów po mężach, we walce padłych. Wielu z mężczyzn było nieżonatych, innym pozabijano żony pod Belanhlolą. Niebawem zaczęto w Umuzi (osiedli) bardzo roztrzącać pytanie, jak potrafi mężczyzna dać łobolę za żonę, skoro wszystko bytło wyginęło. Sprawa przysła przed trybunał inkosa; ten zwołał jednego dnia wielką indabę (radę). Było to mniej więcej siedm miesięcy po walce.

Przed rozpoczęciem gromady musieli mężczyźni pójść na jedną stronę, a kobiety na drugą, poczem zaczął:

„Mężowie i kobiety, wy, coście dotychczas szli za mną, słuchajcie! Doszło do mych wiadomości, że kobietom naszego osiedla bardzo jest przykro, że są opuszczone, a z drugiej strony znowu mężczyźni, którzy nie mają chęci mieć żony, niech wystąpią dwa kroki naprzód.“

Nie ruszył się ani jeden.

„A teraz ci, którzy mają żony, niech w umuczach staną po prawej stronie.“

Prawie czwarta część mężczyzn przeszła na prawą stronę. Ja zostałem na swoim miejscu.

„Teraz żony tych mężczyzn przejdą na prawą stronę.“ — Dotyczące żony przystąpiły do swoich gazdów.

„Otóż wy, kobiety z pośród abantów, wyście straciły waszych mężów i ojców i niema mężczyzny, któryby się wami opiekował, niema, do któregoście się mogły zwrócić.“

„Mamy ciebie inkos.“ wołały kobiety chórem.

„Wszak możecie i mię stracić, jeżeli wam na tem zależy, aby mieć człowieka, który by się wami opiekował i za was walczył, to wybierajcie. Żadnej łoboli za was dać nie mogę, bo niema bydła. Więć wybierajcie!“

Kobiety zaczęły chichotać, ale żadna się nie ruszyła.

Wtedy ja wystąpi-

łem, i skłoniwszy się i odchrząknawszy, rzekłem:

„Inkos, kobiety boją się same wybierać, żeby nie doznały odmowy. Trzeba im kazać zaprodukować taniec poszukiwania narzeczonych.“

„Zgoda.“ zawołał inkos, na co wszystkie kobiety klasnęły w ręce i zawołały: „Bajete!“

Niektórzy z żonatych mężczyzn powydobywali muzyczne narzędzia z arbuzów i instrumenty strunowe i przy ich dźwięku zaczęli mężczyźni i kobiety w dwóch rzędach wpród i naprzód wykonywać pąsy, tak zwane pąsy przeglądu i wyboru narzeczonych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drobne wiadomości misyjne.

W dzień św. Mateusza, Apostoła, mieliśmy od rządu pozwolenie na budowę szkoły we wielkiej lokacji nr. 2 okręgu Umzinto. Więcej niż dwa lata starali się misjonarze św. Michała i kołatali u rządu o pozwolenie zbudowania tamże szkoły i kościoła.

Lecz czarny naczelnik owego powiatu, podburzony przez protestanckiego predykanta, ciągle się wzbraniał. A że rząd w takich rzeczach idzie przeważnie za zdaniem naczelnika, przeto aż dotąd niemożliwym było plac uzyskać. W ostatnich jednak czasach zmienił się nastrój naczelnika na korzyść Misji.

Tak tedy udało się wreszcie zdobyć plac na szkołę i na kościół. Wprawdzie protestancki misjonarz (Amerykanin) czynił wszelkie zabiegi, by starania nasze u rządu udaremnić, ale mu się nie udało.



Szkola zewnętrzna „Św. Piotra“ przy Mariannhillu.

Kiedy magistrat angielski zapytał czarnego naczelnika, czy rzeczywiście daje swoje zezwolenie, rzekł z naciskiem: „Tak!” i dodał, że wszyscy tamtejsi mężczyźni zgodnie za katolicką szkołą się oświadczyli.

Magistrat zwrócił jego uwagę na to, że jest tam blisko szkoła protestancka. Na to odparł naczelnik, że tamta szkoła jest dla wielu zbyt oddalona, a po drugie, krajowcy ani słyszeć nie chcą o protestantach.

Wśród krajowców bowiem zaczyna się objawiać coraz większa skłonność do Kościoła katolickiego. W innej stronie tejże lokacji zaczęliśmy w lutym 1923, w domu jednego z naszych chrześcijan, nauki katechumenów. W pierwszy dzień przyszło zaledwie czworo dzieci. Niebawem zaczęli przychodzić i starsi, w ciągu pół roku nadejściu 50 osób. Mnóstwo pogan i protestantów zagarnęlibyśmy niezawodnie do Kościoła, gdyby nie to, że tak mało jest misjonarzy. „Żniwo wielkie” itd.

Sw. Józef.

Sw. Józef jako szafarz klasztoru.

Pewien biskup francuski osiedlił w jednym mieście Zakonnice, ale sam był biedny i nie mógł im, jak pragnął, dopomóc, ileż niedawno dopiero była osławiona rewolucja. Zakonnice urządziły pensjonat, ale z początku były ciężkie czasy. Jednego dnia przychodzi Siostra szafarka do Przełożonej i prosi pieniędzy na chorych w domu. Przełożona przetrząsa kasę i znajduje tylko 2 sous (2 fenyni). Daje Siostrze 1 sou i idzie smutna do kaplicy. Cóż tu z jednym sou zrobi cały konwent? Wtem przychodzi jej oryginalna myśl. Uklękła przed statua św. Józefa i modli się: „Św. Józefie, znalazłeś i ty w Nazarecie i Egipcie, co to brak i ubóstwo, a przecież za twem staraniem nie brakło na niczem Marii i Jezusowi. Bądź więc opiekunem i szafarzem naszego klasztoru, a na znak mego zaufania dziecięcego daję ci tego ostatniego sou, całą naszą gotówkę. „Ratuj nas!” Rzekłszy to, wetknęła sou w rękę statuy. Nie trwało długo, wtem słychać dzwonek, zjawia się jakiś pan i mówi Przełożonej: „Miałem dla klasztoru robotę, wziąłem przez przeoczenie dwa razy zapłatę, sumienie nie daje mi spokoju. Proszę wziąć, co jest klasztorne, a nie moje” — i oddaje 40 franków. — Niebawem przychodzi majątna dama, oddaje córkę do pensjonatu i płaci za nią z góry. — Tegoż dnia przybyły jeszcze trzy pensjonarki.

Po kilku latach pisała Przełożona: „Mamy teraz klasztor obszerny, wolny od długów, ale ów sou ciągle jest w ręce św. Józefa. Prawie każda nowa postulantka, otrzepując proch ze statuy, znajduje go i przynosi do Przełożonej ze słowami: „Wielebna Matko, znalazłam sou.” — „Gdzie?” — „W ręce św. Józefa.” — „Połóż go tam, skądś go wzięła, tam jest jego miejsce. Św. Józef jest szafarzem naszego klasztoru — i zaraz opowiadam jej całą historię.”

Św. Antoni Padewski.

Woda św. Antoniego.

Pewna kobieta miała zły język, który ciągle obracał się jak kołowrotek, lub raczej jak młyn, mielący cudzą sławę. Zawsze miewała sprzeczki i kłótnie z mężem, domownikami i sąsiadami. Oczywiście ona była zawsze niewinna. Raz żaliła się przed jednym kapłanem, że ma wrogów, mnóstwo od nich przykrości, i prosiła, żeby jej dał jakiś sposób, aby miała spokój. Kapłan rzekł: „Znam niezawodny środek, czy tylko zechcesz go używać.”

„O, tak przyrzekam; niech kosztuje, ile chce.”

Kapłan: „Lekarstwo nic nie kosztuje; jest to woda świętego Antoniego, bardzo skuteczna.”

Kobieta: „Dziękuję Waszej Wielmożności, a gdzie też można tej wody dostać?”

Kapłan: „Dostaniesz jej wszędzie. Jest to zwykła woda ze studni. Jak was zacznie gniew opanowywać, weźmiecie świeżej wody do ust i trzymajcie ją tak długo, aż was gniew całkiem opuści.”

Niewiadomo, czy kobieta tej wody używała. Jeżeli jej używała, to z pewnością doznała skutku i miała spokój z ludźmi. Nawet rzekomo pobożni grzeszą językiem. Apostoł mówi: „Kto nie grzeszy językiem, ten jest doskonały.”

Najlepszym środkiem na grzechy języka jest: milczeć tak długo, jak długo jest się wzburzonym. To właśnie miał na myśli ów kapłan. Św. Antoni w osobliwy sposób strzegł języka, a uświęcał go milczeniem, modlitwą i kazaniami. Dlatego też Bóg po dziś dzień zachowuje jego język nieuszkodzony.

Św. Antoni umarł, jak wiadomo, r. 1231 w Padwie w północnych Włoszech. Wnet po śmierci zaczęto tam budować wspaniałą świątynię z 4 kopułami; budowano ją lat 32. We wielkim ołtarzu tego kościoła miały być szczątki Świętego w trumnie.

Z polecenia Papieża utworzono wprawdzie wobec komisji trumnę. Ciało było przebutwiałe, ale język elastyczny i zdrowy. Św. Bonawentura, członek komisji, padł wtedy na kolana i zawołał: „Błogosławiony języku, któryś zawsze wielbił Boga i ludzi do czci Bożej zagrzewał, jasno widzimy, jakieś zasługi sobie zjednał u Boga.” Język świętego Antoniego znajduje się jeszcze dziś w skarbcu katedry w Padwie, w relikwiarzu, wysadzonym drogimi kamieniami, których wartość oceniają na pół miliona marek w złocie.

Oby św. Antoni i nam wyjednał łaskę, abyśmy zawsze tylko na to używali języka, na co go nam Bóg dał!

Podziękowanie.

Zdziechowice. Serdeczne dzięki składam św. Antoniemu za odebraną pomoc.

Dobrodzień. Załączam ofiarę na chleb św. Antoniego i dziękuję św. Franciszkowi, św. Józefowi i św. Antoniemu za wszystkie odebrane łaski i proszę o dalszą opiekę.

M. L.

Wszelkie należytości i ofiary z Polski dla Misji Mariannhillskiej

prosimy na przyszłość przysyłać pod adresem:

W. P. Bronisław Cyplik, Poznań

ul. Gąsiorowskich 10.

Intencje czyli wyszczególnienie, na co pieniądze przeznaczone, prosimy posyłać wprost do Wrocławia na adres:

**Zastępstwo Misji Mariannhillskiej Br. Konstanty Mielewski
Wrocław (Breslau IX), Sternstrasse 52.**



Zmarli Dobrodzieje naszej Misji:

Marja Rigol w Otmęcie. — Petronela Szubertowa w Poznaniu. — Jadwiga Skawroń w Siemianowicach. — Ewa Furczyk w Rudzie. — Wiktorja i Marta Maniusz w Miechowicach. — Marja Białecka w Zależu. Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuiste niechaj im świeci! Amen.

Dodatek.

Nakładem Misji OO. Misjonarzy w Mariannhill, Połud. Afryce. — Redaktor odpowiedzialny: Feliks Konstanty Mielewski we Wrocławiu. Członkami drukarni „Schlesische Volkszeitung” sp. z o. p. we Wrocławiu, Hummerel 39/40.